

Oczekiwanie przeciągało się, tramwaj wciąż nie nadjeżdżał. Mijały kolejne minuty. Stojący na przystanku niewielki tłum gęstniał stopniowo, kilka poddenerwowanych głosów tłumaczyło utrzymanym w dłoniach komórkom, że będą gdzieś tam spóźnione, prosiło o cierpliwość i zrozumienie, zmieniało godziny spotkania. Dwaj mężczyźni rozmawiali o wywrotce z piaskiem, która nie dojechała na budowę, zgarbiona wiekiem kobieta objuczona siatkami pełnymi zakupów mamrotała uwagi pod adresem miejskiej komunikacji, grupka dzieciaków w wieku szkolnym kopała plastikową butelkę. Inni milcząco kontemplowali szarość płyt chodnikowych posrebrzonych niedawnym deszczem. Wreszcie się pojawił. Dwa staroświeckie wagony z czeskiej Pragi wyglądały na lata trzydzieste. Były prawie puste, to pierwszy przystanek za krańcówką. Wsiadłem bez pośpiechu, po chwili wóz ruszył, gwałtownie przyspieszając i trzęsąc niemiłosiernie. Podszedłem do kasownika, z kieszeni kurtki wyjąłem bilety, czerwone, zielone, ale zaraz, przecież to warszawskie, a tu Łódź, niebieskie powinny być i nie takie twarde, jeszcze pasek magnetyczny mają. Kasownik nie bardzo chciał je przyjąć, ale w końcu go przekonałem. Z westchnieniem ulgi zająłem ostatnie wolne miejsce. Autobus linii siedemdziesiąt cztery, Początek, szybko mijał kolejne skrzyżowania zatłoczonego centrum miasta, zręcznie lawirując między czterokołową konkurencją i przeganiając pieszych przekraczających jezdnię we wszelkich możliwych kierunkach. Kilińskiego, Sienkiewicza, Piotrkowska, Gdańska. Trochę zaspany zapomniałem wysiąść, trudno, moja wina, mogłem nie drzemać i mieć oczy otwarte, muszę przejechać jeszcze kawałek.

Okazał się dziwnie długi. Zaskoczyło go to, nie mógł pokonać wrażenia, że powinien być krótszy, a i widok za oknem jakby nie ten. Zabudowa stawała się coraz rzadsza, niewielkie, porządnie utrzymane parterowe domki uczipione ogródków za metalową czernią siatek, zastąpiły odrapane kamienice. Z lewej strony wyrosła ściana sosnowego lasu, poprzedzona wąskim, dawno niekoszonym szaro-zielonym pasem wybujałej trawy. Chodniki zniknęły, ustępując miejsca piaszczystym poboczom, zerkającym wokół błękitem nieba i plamami bieli obłoków zatopionych w rozległych lustrach kałuż. Zatrzymali się wreszcie. Wysiadł. Zaorane pole ciemnymi bruzdami oparte o horyzont, gdzieś przerywany kępami niewysokich drzew, bliżej, otulona ramionami rozłożystego kasztana, pochylona wiekiem stodoła z dziurawym, krytym słomą, dachem, wrony lecące w jego kierunku, nie, nie wrony, ludzie biegnący w stronę autobusu, wsiadają, tłocząc się przy wejściu, lecz on jeszcze czeka na kogoś, dwie spóźnione dziewczyny wskakują w pośpiechu, włączony kierunkowskaz, warkot silnika, rusza wreszcie, znikając za łagodnym łukiem drogi.

Po drugiej stronie ulicy, wśród drzew rozkołysanych nagłym tchnieniem wiatru, zajazd lub niewielki hotel, przechodzę przez jezdnię, pusty parking, kostka, trzy schodki, ciężkie, drewniane, dwuskrzydłowe drzwi. Obszerny, mroczny hol, kolumny zakończone lotosowym kapitelem, sprawiają wrażenie marmurowych (Joakim i Boaz? Skąd tu się wzięły?), kilka stylowych, zielonych foteli, dwa stoliki na wygiętych nóżkach, w rogach palmy, brzydkie, sztuczne chyba, wzorzysta wykładzina udająca dywan o nieokreślonym kolorze, na ścianach trzy kopie portretów Rembrandta (Saskia uśmiecha się figlarnie), rytualne Słoneczniki i Szał Podkowińskiego. Staroświecki zyrandol z jedną zapaloną żarówką ma problem z oświetleniem całego wnętrza, co skrzętnie wykorzystuje rozłożysty fortepian, chowając się w najciemniejszym kącie. Kontuar czy lada ozdobiona wazonem pełnym zwiędłych, polnych kwiatów, lecz za nią nikogo. Każdy postrzegany element sprawia wrażenie, jakby istniał wyłącznie dla siebie, niezwiązany z niczym, obcy, obojętny, nieczuły na zależności i powiązania czasoprzestrzeni tylko mechanicznie wy-

pełnia narzucony przez kogoś obowiązek bytu i przesuując się przed moim wzrokiem, starannie ukrywa niechciane relacje ze zbędnym dlań otoczeniem. Jawna sugestia, że sam mogę skomponować swój świat z proponowanych elementów i żaden demiurg wyręczał mnie w tym nie będzie. Podchodzę do okna, szerokie, weneckie, otwarte, kilka zdechłych much na brudnym parapecie, jedna dogorywa, ruszając bezradnie cienkimi łapkami. Za nim olbrzymie wyrobisko żółtego piasku, głębokie na kilkanaście, może nawet ponad dwadzieścia metrów, strome ściany, wpadniesz, nie ma nadziei, aby wydostać się bez zewnętrznej pomocy; chyba strażaków albo wojsko ze sprzętem należałoby wołać. A wokół nie widać żadnego ogrodzenia, wielka dziura zaprasza, przyzywa, mami, cofam się, strach trochę, mrówki biegają po grzbiecie.

Odwracasz się od okna. Przy ścianie wysoki regał biblioteczny, dziwne, że nie dostrzegłeś go wcześniej, ale może coś znajdziesz o tej przepaści, coś, co wytłumaczy jej niepokojącą obecność. Stłoczone książki wyglądają na dość stare. Skóropodobne, a może nawet skórzane grzbiety, przytłumiony blask złożonych liter, kurz, wrażenie zastygłego czasu, przeszłości, zapomnienia, tłusty pająk ucieka w popłochu. Przerwasz ich sen, z namysłem wyciągasz jedną, niezbyt grubą, instynkt podpowiedział którą, może właściwie, otwierasz, George Szczedrin, nazwisko cyrylicą, reszta tłumaczona, kartkujesz, to chyba zbiór opowiadań, „Niedrzemiące oko”, „Głupiec”, „Sąsiedzi”, „W drodze”, „Cienie”, ale coś się nie zgadza, przecież Sałtykowa brakuje, imię też nie takie, czy to on, czy ktoś inny, może będzie jakaś nota o autorze, znajdujesz na końcu, ach tak, jego ojciec, urodzony w Birmie w dziewięćset szesnastym, dzieciństwo spędził u dalszej rodziny w Egipcie, w latach trzydziestych przyjechał do Rosji, po drugiej wojnie pracował naukowo, tytuły prac... o... „Eksploracja złóż piasku i kruszyw budowlanych”, dwie powieści, nowe, zmarł w siedemdziesiątym czwartym. Szukać nie warto, tym bardziej czytać, musi to być potwornie nudne. Zniechęcony odkładasz na półkę. I tak zresztą niewiele byś zrozumiał, w końcu to fachowa literatura, choć trochę żal tej książki, bo sprawia wrażenie rozczarowanej, że nie przydała się na nic, trudno, trzeba iść, niczego ciekawego więcej tu nie znajdziesz.

Opuszczam zajazd, ruszając szosą w kierunku zachodnim śladem dalszej trasy autobusu. Dlaczego nie ma chodników? Przecież to prawie centrum, zaraz powinna być przelotowa Aleja Włókniarzy i Dworzec Kaliski. Ale jest pole i las. Może pójdę w lewo, dojdę do trasy W-Z. Skręcam, kilkadziesiąt metrów i zza parkowych drzew wyłaniają się trzypiętrowe bloki, nie najnowsze, na oko średni Gierek, hm, dziwne, znam przecież dobrze całe miasto, skrzywienie zawodowe, a nigdy tu nie byłem. Wąska uliczka na jeden samochód, nierówna trylinka jak to w blokowisku, biegające rozkrzyczane dzieci, starsza kobieta ciągnie wózek z zakupami, na ławce dwaj mężczyźni toczą ożywioną rozmowę, nie dostrzegając obserwującego ich ukradkiem spod wysokiej tuji na środku trawnika czarno-białego kota. Trochę zdezorientowany mijam kolejny budynek, z okna następnego rozbrzmiewa głośna muzyka. Symfoniczna. Przystaję, słucham. Zaintrygowany podchodzę bliżej, tak, rozpoznaję, późny romantyzm, chyba scherzo z...

Zaraz... przecież to mój dom, mieszkam tutaj, to nawet moje okno. Pospiesznie wbiegam po trzech schodkach, wyjmuję z kieszeni klucze, dwa zamki chroboczą znajomym dźwiękiem, wchodzę, zrzucam kurtkę, buty, mijam korytarz, sypialnia, łóżko, ciemno jeszcze, budzę się powoli, w półmroku oczy szybko rozpoznają znajome kształty domowych mebli, obrazy wiszące na ścianach, uczepony sufitu staroświecki żyrandol. Trzeba się ruszyć, znów ten pęcherz, lekarz przepisał jakieś tabletki, ale nie mogę przyjmować, źle wpływają na serce, arytmia, palpacje i takie tam. Niechętnie odrzucam ciepłą kołdrę, wstaję. Przyjmując nie ulubianą, przejściową pozycję, kręgosłup protestuje jak zawsze. Kapcie, okulary, ziewnięcie, wypłówały dywan, drzwi, światło, po krętych schodach powoli złażę na parter, załatwione, wracam, kuch-

nia, oplukuję dłonie zimną wodą, która to... szósta, nie warto już się kłaść, niebo za oknem różowieje, krakanie wrony maszerującej wzdłuż czerni siatki ogrodzeniowej, włączam czajnik elektryczny, będzie kawa. Wyciągam z lodówki żółty ser na śniadanie, kroję tępym nożem, wrona odlatuje, wracam do pokoju, stół, łapek, jakaś muzyka na przebudzenie by się przydała, co by tutaj... półświadomie włączasz symfonię Brucknera, Ósma, druga część, niech będzie, dobra na przebudzenie.

Wracasz do kuchni, jeszcze kota nakarmić by wypadało, bo urządzi miauczający koncert we wszelkich możliwych tonacjach, a repertuar ma urozmaicony, i co ważne, wszystko wykonuje fortissimo. Wykładasz na talerzyk pokrojone nerki wieprzowe, jego ulubione, ale gdzież on zniknął, no tak, siedzi na oknie za zasłoną, ptaki obserwuje, przywitać się nie raczył, taki zajęty. Sąsiadka ciągnie wózek z zakupami, mężczyźni na ławce głośno o czymś rozprawiają, z oddali dobiega szum ulicy z wiodącym motywem przejeżdżających tramwaj. Zwyczajny dzień. Stawiasz śniadanie na podłodze, zgłodnieje kocisko, to przyjdzie. Woda już jest, robisz kawę, kroisz ser, masło, lepiej bez chleba, węglowodany zmieszane z białkiem nie są zdrowe, żołądek tego nie lubi, puszka sardynek może być, sprawdzasz datę przydatności, siódmy kwietnia, przynosisz wszystko do pokoju, siadasz, orkiestra brzmi wspaniale, dyskretnie zerkasz na sąsiadów, zasłuchani, nieruchomi, wpatrzeni w podium, w końcu to Karajan, poprawiasz się w fotelu, twarde trochę, uwiera, mrużysz oczy, światła na sali zbyt rażące, żyrandole okupują dziesiątki rozświetlonych żarówek, kilka mogłoby się uprzejmiem przepalić, nastrój byłby bardziej kameralny. Scherzo triumfalnie dobiega końca. Wbrew utartym zwyczajom, jako że to nie koniec dzieła, wybucha burza oklasków, zasłużenie, rzeczywiście wykonanie zachwycające. Dyrygent wyciera pot z czoła białą chusteczką, nie odwraca się, nie kłania, jeszcze nie pora, unosi ręce, sala milknie momentalnie, batuta wykonuje lekki ruch. W narodzonej nagle ciszoprzestrzeni łagodnie, z namaszczeniem, wypływają pierwsze akordy Adagia. Śpiewny motyw wyłania się z nicości, jakby z innego świata, rosnąc, potężniejąc, grzmi głosem rozgniewanej tuby, arogancją kotła, zdecydowaniem wiolonczel i kontrabasów, wspartych na usługowej delikatności skrzypiec, starannie modelując otoczenie niewidzialnymi ścianami dźwięków tworzących nurt melodii, na której pamięć wyświetla obrazy dawno minione, wydobyte z otchłani niebytu nieznanego Początku tej rzeczywistości, zazwyczaj ukrytego za kotarą wydarzeń, rzeczy, doświadczeń, sfalowanych czasem nieustępliwą siłą pragnienia.

Flet snuje swoją frazę, tęsknie przeciąga nuty, niespiesznie omijając żółtą rozpadlinę, która pojawia się za zasłoną przymkniętych powiek, obrazy oprawione w ramy świadomości, skojarzenia, muzyka... w jakimś bloku, ta sama chyba... pamiętasz, jakby poza tobą, poza tym czasem, a może umysłem, który musisz z kimś dzielić, nagły przebłysk zrozumienia, skrzypce wołają, opowiadają, ale o czym, nie wiesz, nie rozumiesz, kto tego słucha, w kim rodzi się las, pole, ludziowrony i ta dziura w ziemi. Ciepły piasek chrząści między palcami, nie, to nie piasek, bursztyn, złoto, lśnią w promieniach słońca, a tu tak głęboko, wieje chłodem, nie ma wyjścia, pionowe ściany akordów nie do pokonania, pomocy! A może nie należy wychodzić, może to przejście do... myśl ucieka, przestraszona, spłoszona, nie znajduje w sobie odpowiednika, lustro odbić nie potrafi, nie ma czego, a więc to coś nie istnieje. Ach, ależ Głupiec ze mnie, przecież to moja rzeczywistość, mój sen, ja i tylko ja ustalam reguły. Jestem W drodze między... Lecz skąd tu się wziąłem? Kim jestem? Skąd przybywam? Gdzie szukać Początku? Żadnej symfonii nie rozpoczyna Scherzo, to nie była pierwsza część, to nie ono, to nie on, tylko ersatz, tylko Cienie na ścianach jaskini. Coś nadjeżdża... tramwaj, autobus linii siedemdziesiąt cztery, nie, to mają, zmysły i umysł też do niej należą, też są złudzeniem, ich świadectwo jest nic niewarte, przystanek, pole, las, słyszysz krakanie wron zbudzonych głosem puzonów, klarnetów i fagotów, forte akurat im się zachciało, spać ptakom nie dają, choć to nie sowy przecież, dzień jest, latać trzeba, jedzenia szukać, pole zaorane, dżdżownice pewnie łążą

po powierzchni, warto skorzystać.

Cichną dętą instrumenty, skrzypce podejmują ostatnią melodię, delikatnie, piano, wrony odlatują, tamten świat powraca, przytomniejsz, przecierasz oczy, potrząsasz głową, lekko poruszasz drętwiejącymi stopami, zamierają ostatnie dźwięki, Adagio dobiega kresu. Nie ma oklasków, choć wykonanie było równie doskonałe, ale wyrobiona publiczność najwidoczniej nie chce przesadzać. Jeszcze ostatnia część, finale, zerkasz na zegarek, za dwadzieścia ósma. Na dworze ściemnia się zapewne, oba Księżycy muszą już wisieć nad miastem.

Po skończonym koncercie, gdy umilkły owacje, kompozytor, który zaszczyił ten wieczór swoją obecnością, w aureoli zachwytów dziękował dyrygentowi i orkiestrze. Wychodząc, pozdrawia mijaną publiczność, tworzącą honorowy szpaler. Głowa pochylona, błędzący uśmiech, lekko drżące ręce, znużony, starczy krok. Powoli schodzi po szerokich schodach, mija hol, jeszcze ostatnie trzy stopnie, przeszklone, dwuskrzydłowe drzwi, chodnik i można odetchnąć, delektować się rześkim powietrzem. Podjeżdża oczekujący go znajomy doróżkarz. Stare konisko prycha na powitanie, usiłując mordą dotknąć twarzy. Klepie lekko lśniąca czerń szyi, zwierzę odpowiada przyjaznym parsknięciem. Chciałby je objąć, wtulić się weń tak jak ona, na tamtym obrazie. I odlecieć. Lecz tylko wsiada ociężałym ruchem do wnętrza pojazdu, na nogi narzuca kraciasty, czerwono-zielony pled, późna godzina, może być chłodno, wydaje dyspozycje, przymyka zmęczone oczy, zanurzając w dźwięki własnej muzyki, od której nie potrafi się uwolnić. Jadą do niezbyt odległego parku, spacer wśród zieleni wydał się dobrym pomysłem.

Aleje są prawie puste, nieliczni przechodnie lub ich cienie, niespiesznie przemijają wśród zasypiających kolumn drzew. Tak, scherzo jest najlepsze – wspomina – pomysł wpadł jeszcze w murach klasztoru w Linzu, w refektarzu, podczas śniadania kroilem ser i temat nagle wypłynął, nieoczekiwanie, jakby Bóg ofiarował mi go w niezasłużonym darze, ale zewnętrzny kształt nadałem w gotyckiej ciszy wiedeńskiej katedry. Jakże dawno to było! A może nawet wcześniej, w pyle polnej drogi na przedmieściach, po której chodziłem z rodzicami lub dziadkiem. Wzdłuż niej rósł las, sosnowy, korony drzew gaworzyły między sobą, opowiadały różne historie z minionych lat, o których pamięć z pokolenia na pokolenie przenosiły w ziarnach szyszek, w nasionach traw przytulonych do pni, w szumie gałęzi targanych wiatrem. Jakże piękne były niektóre, tak bardzo lubiłem ich słuchać i tłumaczyć muzyką. Dalej pole aż po horyzont, z brzdami jak piszczałki organów w kościele świętego Floriana, na których odtwarzałem ich mowę. A teraz nie wiem, czy zdążę dokończyć następną symfonię, która to będzie... dziewiąta, mam zinstrumentowany początek, dalej zaledwie szkice, niedopracowane, niejasne, ulotne, może wyjść nazbyt rozwlekłe, nie potrafię koncentrować się na głównych tematach, dłużyzny powstają, sił coraz mniej, wiem, niedługo Pan wezwie mnie do siebie, a tu tyle pracy pozostało.

Siada na trawie, dobrze, że jest sucho, granat późnowieczornego nieba nie znajduje wodnych luster, w których mógłby ułożyć do snu swe odbicie. Urodzony i wychowany na wsi, zawsze lubił bezpośredni kontakt z ziemią, czuć jej dotyk emanujący mocą, przekazującą poczucie pewności i siły. Wzrok błądzi po okolicy, odbija światło niedalekich latarni i oświetlonych okien pobliskich domów, zza których tak spokojnie można obserwować ruch uliczny. Ściemnia się coraz bardziej. Starsza kobieta z wysiłkiem ciągnie wózek pełen zakupów, pewnie wraca z udanego polowania, czuję pyszne mięsko, zapach drażni nozdrza, drgają podniecone wibrysy, ale to nie moja gospodyni, trudno, przeboleję. Dzieciaki biegają, to

zagrożenie, ale na szczęście nie na mnie kierują uwagę. Jak ja wyglądam... trzeba wymyć tylną łapę i biały brzuszek, koniec ogona też niezbyt lśniący, zaniedbałem się ostatnio. Czemu tych dwóch na ławce tak krzyczy, zdenerwowani, podnieceni, wymachują swymi niby skrzydłami, a przecież i tak nigdzie nie polecą, aha, siedem czterdzieści im brakuje do jakiejś połówki, muzyka nazbyt głośna, nawet okna nie zamkną, duże czerwone pudła wożące ludzi też zgrzytają, ulica niedaleko, warczą dorożki bez koni, zbyt wiele tego hałasu, muszę poszukać spokojniejszego miejsca, choć właściwie ten świat nie jest zły, skoczę w nim jeszcze do piaskownicy, niezbyt głęboka i ma taki przyjemny, żółciutki piasek, łatwo zakopać, a potem w drogę. Może później tu wrócę, przysiądę za zasłoną na parapecie okna, popatrzę na ptaki, śniadanie będzie czekać, może później, może kiedyś...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Gorgiasz, dodano 14.02.2019 10:53

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).